

Wołę „The Economist” i „New York Timesa”

26 marca 2024

W jednym numerze „The Economist” znajdziesz Pan więcej pożytecznej i użytecznej wiedzy oraz intrygujących faktów niż nawet przez miesiąc w naszej całotkiej prasie. M.in. dlatego tygodnik jest najlepszym pisanym wyrobem dziennikarskim świata. To zasługa jego już 180-letniej historii, poszanowania tradycji i standardów, no i worków pieniędzy nie do wyobrażenia w Polsce.

Pismo hołduje pryncypiom najznakomitszego dziennikarstwa. Podstawą jest story telling, czyli opowiadanie czytelnikom historii lub wplatanie ich w bardzo nawet analityczne artykuły. Tygodnik nie męczy sensacjami aktualnymi na długość życia jętki, powtarzaniem do znudzenia tych samych tez i opowieści, rozdmuchiwaniem codziennych potyczek politycznych. Jest za to wszędzie, gdzie się dzieje lub widać zachodzenie istotnych procesów politycznych, ekonomicznych, społecznych oraz kulturalno-cywilizacyjnych. Nie dopuszcza na swe łamy snujów mędrkujących stale na to samo kopyto. Gdy komentuje, to w sprawie, a nie przeciw komuś lub czemuś, lub za kimś albo czymś. Jest niemal bez wad, zwłaszcza z punktu obserwacyjnego nad Wisłą.

Jeszcze mniej więcej 20 lat temu niektóre numery „The Economist” czytałem jednak ze szczękościskiem. Powodem był „paternalizm”. Przez lata nie zdarzył się chyba artykuł lub większa wzmianka o Polsce ilustrowana czymś innym niż zdjęciem, na którym szkapina ciągnie furmankę z woźnicą przechyloną mocno na bok. Taką mieliśmy wtedy prasę na Zachodzie. Mogło być wszakże gorzej. Symbol polskiej wsi z II RP i PRL z fotografii The Economist był „na gumach”, a mogli wybrać ten na żelaznych kołach.

Dziś jest inaczej. Polska trafia na łamy tygodnika bardzo często. Nawet zbyt często, bo okazje po temu są z reguły niemiłe, ponieważ wiążą się z naszą dopiero mijającą, aż ośmioletnią, niedolą społeczno-polityczną. Na początku lutego zasłużyliśmy np. na komentarz w dziale „Leaders” poświęconym wyłącznie kwestiom wiodącym dla świata. Miał tytuł: „Poland’s new government, Escaping capture” i podtytuł „Repairing the damage done by populists requires grit and patience”. Mowa była w nim m.in. o tragedii polskiego sądownictwa, jak również, że jego naprawa i odbicie z rąk ancient regime wymaga twardego charakteru, lecz także cierpliwości. Zdaje się, że brytyjski autor lepiej czuje polskiego bluesa, niż większość krajowych publicystów żądających tu, teraz i natychmiast.

Zdarzają się w piśmie akcenty łechcące naszą zaściankowość. Przykładem felieton europejski w numerze z 2 marca br. opublikowany przez komentatora spod szyldu Charlemagne. Nosił tytuł „Where are Europe’s towers?” i był o wieżowcach w Europie, zaś dwa jego pierwsze akapity poświęcone zostały najwyższemu drapaczowi chmur w Unii nazwanym Varso, a sterczącym w Warszawie.

W krajowym kontekście najbardziej zdziwiłem się jednak ostatnio, że dopiero z „The Economist” dowiedziałem się, że to na polskiej ziemi rodzi się europejska potęga bateryjna. Pod datą 10 lutego 2024 r., w dziale „Nauka i Technika”, duży tekst o wielkiej fabryce baterii samochodowych w Nysie. Jeden zakład działa od września 1922 r. drugi – bliźniaczy, jest w budowie. Oba będą w stanie wytwarzać rocznie materiały na katody, z których użyciem będzie można zmagazynować energię w ilości ponad 200 GWh, a w innym ujęciu – na baterie dla 3 mln samochodów elektrycznych. Właścicielem jest grupa materiałowa Umicore z siedzibą w Brukseli, z takimi samymi fabrykami w Chinach i Korei Płd. Drugi zakład powstaje jako joint venture z niemiecką grupą PowerCo, która zarządza całością interesów bateryjnych grupy Volkswagen.

Pozytywny aspekt biznesowy przedsięwzięć prowadzonych przez

Umicore w Polsce jest oczywisty, ale uderza przede wszystkim, że zakłady w Polsce służą dziennikarzowi „The Economist” za punkt odniesienia do opisów stosowanych w Nysie najwymyślniejszych technologii produkcji katod do baterii. Ja nie przesadzam, jeśli przesadził, to wyłącznie autor tytułu, który zapowiada wizytę „w sercu rewolucji bateryjnej” („Electric vehicles, At the heart of the battery revolution”), a to serce w Nysie.

Po informacji do historii (story) opisującej rozwój super technologii gromadzenia energii elektrycznej wysłannik tygodnia przyjechał na Opolszczyznę, nie do Niemiec, czy Holandii. Z uwagi na ochronę tajemnic technicznych i przemysłowych, przed wejściem na teren musiał oddać do przechowania wszystko, co zapisuje i nagrywa, a nawet pozdejmować swoje jubilerskie błyskotki, żeby nie zaszkodziły wyposażeniu używającemu czułych pól magnetycznych.

Ciekawe, czy takie rygory zostaną wprowadzone w Jaworznie, gdy zaczną już tam schodzić z taśmy milionami chińskie auta elektryczne, kiedyś mające się nazywać „Izera”. Zastanawiam się, ponieważ ciągle nie doczekałem się informacji o najważniejszym kroku, czyli utopieniu się tego propagandowego głównie projektu, z którego pożytek będą mieli wyłącznie Chińczycy i zagraniczni eksporterzy śrubokrętów dla pracowników z taśmy tej montowni.

Przyznam z niechęcią, że coraz mniej czytam polską prasę. Głównie dlatego, że mam do niej mnóstwo zastrzeżeń jakościowych – m.in. za dużo ulotnych newsów, za mało „stories”. W moim odczuciu zbyt mało zajmuje się światem poza UE, Stanami, podczas gdy punkt ciężkości stale pełźnie w stronę starej (Chiny, Japonia, Korea Płd., Tajwan) i nowej Azji (Indie, Indonezja, Wietnam, Tajlandia i inne). Poza tym, na polskie dzienniki i tygodniki (tych drugich już od lat nie czytam wcale) już nie starcza czasu zabieranego przez „The Economist”, „The New York Times”, „The Wall Street Journal”, „The Atlantic”, od czasu do czasu „Der Spiegel” i ponad 20

newsletterów z kraju i ze świata. Do listy dołożyłbym jeszcze „The Financial Times”, ale dla emeryta jest ciut za drogi.

Sądzę, że podobnie jak ja postępuje dużo tzw. jakościowych czytelników (wyższe wykształcenie, odpowiedzialne stanowiska, wiek średni i starszy), na których powinno prasie (nie internetowi) zależeć najbardziej. Jeśli chce przetrwać inwazję portali „miesz-masz+ koniecznie »Pudelek«” musi się zmienić. Po długim namyśle sądzę, że wbrew intuicji prasa codzienna powinna zacząć rezygnować z informacyjnej sieczki, z komentarzy z cyklu „wydaje mi się”, a także poradnictwa prawnobiznesowego, które może być osobnym produktem („Rzeczpospolita” i „Dziennik Gazeta Prawna”). W zamian skupić się powinna na opowiadaniu pogłębionych historii o Polsce i świecie, wybierając te „dające do myślenia” w jakimkolwiek kontekście. Czytam np. we wiarygodnych źródłach zagranicznych, jak świetnie działała tzw. ochrona zdrowia w Czechach i Hiszpanii, ale dlaczego tak jest, dowiem się chyba tylko wtedy, gdy sam zabiorę się za to.

Niestety nie liczę, że polska prasa podejmie wyzwania i uratuje się przed upadkiem poprzedzonym kilkoma latami schodzenia w dół, które jest paradoksalnie trudniejsze niż pięcie się w górę. Wiem, jak wielkim problemem jest kasa, ale skoro wydawcy jej nie mają, to gdzie dziennikarska kreatywność w poszukiwaniu nowatorskich sposobów jej zdobywania. Świat kipi od gotówki, ale korzystają z niej tylko najmądrzejsi lub najsprytniejsi z obiecującymi produktami do finansowania.

Autorstwo: Jan Cipiur

Źródło: StudioOpinii.pl